

Miesięcznik „Znak” nr 628, wrzesień 2007

**Dariusz Skórczewski**

### **Dlaczego Polska powinna upomnieć się o swoją postkolonialność**

Przybysz z Polski, który podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych miał okazję wejść do księgarni – bardziej renomowanej, jak Barnes and Nobles, bądź też przeciętnej, jak te na wielkich lotniskach – doznał zapewne dziwnego uczucia nieobecności. Wśród tysięcy tytułów, od jakich uginają się półki w działach beletrystyki, literatury faktu i historii, trudno znaleźć nazwisko polskiego autora. Dostrzec je można niekiedy na grzbiecie tomiku poezji, bo polscy poeci: Miłosz, Herbert, Szymborska, Zagajewski, bywają w Ameryce czytani. Nie łudźmy się jednak: koneserzy wierszy, tak jak i w innych regionach świata, stanowią tam publiczność niszową. Narody i kultury funkcjonują w świadomości ogółu i są rozpoznawane poprzez swoje narracje. Poezja, z natury elitarna i ekskluzywna, nigdy nie zapewni polskiej kulturze tej obecności, którą mogłaby jej dać proza.

By oddać sprawiedliwość faktom, w amerykańskiej księgarni spotkać można książki Ryszarda Kapuścińskiego, bo jak rzadko który polski pisarz jest on dobrze znany za Atlantykiem, a jego reportaże cieszą się tam od lat uznaniem. Niemal na pewno zaś, przeglądając zawartość półek w dziale historycznym, natkniemy się na *Neighbors...* bądź *Fear...* Grossa i na ogół będzie to jedyna książka, na podstawie której przypadkowy czytelnik może wyrobić sobie opinię o Polsce, polskiej historii i samych Polakach. To wszystko. *Out of sight, out of mind*, jak mawiają Amerykanie. Po co zawracać sobie głowę tym, czego nie widać?

Nieobecność tego rodzaju jest w skali świata tożsama z nieistnieniem, co dotkliwie odczuwają ci, którzy się z daną kulturą utożsamiają. Uderzanie w nutę ubolewania nad sobą niczego jednak nie zmieni. Przeciwnie, wśród amerykańskich elit akademickich postawa taka natychmiast kojarzona bywa z utrwalonym od kilku pokoleń stereotypem polskiego emigranta-outsidera, który odmawia uczestnictwa w dyskursie wybranego przez siebie za docelowe społeczeństwa. Emigrant taki nosi w sobie resentyment do świata za brak zrozumienia dla polskich tradycji i polskiej martyrologii i, na domiar złego, tęskni za Polską „od morza do morza”, lekceważąc racje geopolityki. Nie miejsce tu na analizę przyczyn wzajemnego niezrozumienia kultury polskiej i amerykańskiej, znakomicie sportretowanego przez Janusza Głowackiego w *Polowaniu nakaraluchy*. Może powstanie kiedyś na jednym z amerykańskich uniwersytetów praca, która opíše paradoksalny fenomen amerykańskiej dyskryminacji w stosunku do przybyszów z Polski – i nie tylko Polski, lecz także innych krajów Europy Środkowowschodniej. Mówię o przyszłości, bo w atmosferze, jaka panuje obecnie na wyższych uczelniach od Berkeley po Columbię, trudno sobie takie studium wyobrazić.

Co zatem można zrobić, by polska literatura przedostała się na rynek amerykański i zajęła na nim trwałą pozycję, choćby w niewielkim stopniu zbliżoną do tej, jaką cieszy się literatura karaibska, południowoafrykańska, literatury krajów Azji Południowowschodniej, Afryki Północnej i Środkowej, Indii, Pakistanu czy Australii? Może ktoś obruszy się na takie zestawienie, uznając je za niestosowne, zważywszy na różnice historyczne, kulturowe itd. A jednak nie jest ono przypadkowe. Na pamięć przychodzą frazy wiersza Miłosza *Rue Descartes*:

*Mijając ulicę Descartes*

*Schodzę ku Sekwanie, młody barbarzyńca w podróży*

*Onieśmielony przybyciem do stolicy świata.*

*Było nas wielu, z Jass i Koloszwaru, Wilna i Bukaresztu, Sajgonu i Marakesz,  
Wstydliwie pamiętających domowe zwyczaje  
O których nie należało mówić tu nikomu (...)*

Miłosz zawarł tu jedno z kluczowych doświadczeń ludzkości w minionym stuleciu. Onieśmielenie, jakiego zaznał w jednej ze stolic zachodniego świata, porównać można z uczuciem „nieobecności” czy też „nieprzynależności”, znanym nam z wizyty w amerykańskiej księgarni. Oba wiążą się ze szczególną sytuacją, w jakiej znalazły się populacje przywołanych przez poetę miejsc – sytuacją skolonizowania. Miłosz bodaj pierwszy z polskich – a może i środkowoeuropejskich – pisarzy tak trafnie uchwycił rys, który definiuje tożsamość współczesnych społeczeństw zamieszkujących nasz region, a także inne obszary dzisiejszego świata.

Czy polska literatura ma szansę przedostać się na globalizujący się rynek anglojęzyczny? Odpowiedź kryje się w kontekście, w jaki wpisuje się wiersz Miłosza. Spośród literatur terytoriów, o których mowa w *Rue Descartes*, jak dotąd tylko jedna stopniowo, lecz skutecznie toruje sobie drogę do światowej publiczności, i to właśnie dzięki krytyce postkolonialnej – literatura marokańska. Tahar Ben Jelloun, najwybitniejszy pisarz marokański i zarazem jeden z najlepiej znanych postkolonialnych pisarzy afrykańskich, uhonorowany został w 1987 roku prestiżową Nagrodą Goncourtów, a niedawno – irlandzką nagrodą literacką Impac. O tym, że te gesty uznania przekładają się na znajomość danej twórczości wśród czytelników poza granicami ojczystego kraju, nie trzeba nikogo przekonywać: najgłośniejsze utwory Jellouna przełożono także nad Wisłą. O postkolonialnym charakterze pozostałych literatur: polskiej, litewskiej, węgierskiej, by pozostać przy

niektórych, mówi się jak dotąd niewiele, podobnie jak o postkolonialności tych społeczeństw. Powód?

Powodów jest kilka i warto pokrótce o nich wspomnieć, nie tylko po to, by lepiej zdiagnozować obecną sytuację polskiej literatury i kultury w świecie, lecz przede wszystkim, by wskazać szansę wpłynięcia na *status quo*. Kraje byłego tzw. bloku wschodniego, z wyjątkiem sowieckiej i posowieckiej Rosji, nie miały dotąd szczęścia w zaznaczaniu swej obecności na globalnym rynku wymiany intelektualnej. Ich kultura uznawana bywa przez nadające ton dyskursowi humanistycznemu amerykańskie elity akademickie za „wysoko skontekstualizowaną”, czyli wartościową wyłącznie dla danej populacji. Sytuacja ta stanowi przedziwne przedłużenie optyki zimnowojennej, która, jak wiadomo, nie sprzyjała społeczeństwom uznawanym za słabsze. Obecna fascynacja literaturą i kulturą rosyjską jest tyleż pochodną jej immanentnej wartości, co efektem hegemonistycznej pozycji ZSRR i Rosji jako światowego imperium. Fascynacji tej, nawet w kręgach zdominowanej przez rusycystów amerykańskiej slawistyki, nie towarzyszy jednak zrozumienie zagadnień absorbujących społeczeństwa, które po 1989 roku uwolniły się formalnie spod wpływu rosyjskiej metropolii. Jest to paradoksalne, ponieważ w ciągu ostatnich dwudziestu-trzydziestu lat, właśnie za sprawą metodologii postkolonialnej zainaugurowanej przełomową książką Edwarda Saïda *Orientalizm* (wydaną również w Polsce, całkowicie jednak u nas przemilczaną) rozpoczęło się powolne, lecz skuteczne upominanie się byłych społeczeństw kolonialnych o uwagę światowej publiczności. Narracje pisarzy pakistańskich, algierskich, południowoafrykańskich, australijskich, a także irlandzkich zaczęły być dostrzegane przez badaczy i krytyków, nagradzane na forach międzynarodowych i włączane do programów studiów uniwersyteckich, co nie mogło nie znaleźć odbicia we wzroście znajomości danej kultury w Stanach

Zjednoczonych, a za nimi również w całym tzw. zachodnim świecie. Studia postkolonialne należą obecnie do standardowej oferty amerykańskiej humanistyki i nauk politycznych. Dla porównania, literatura polska, węgierska, literatury krajów bałtyckich i bałkańskich z trudem walczą w Stanach Zjednoczonych o uznanie swego istnienia, a katedry tych literatur na amerykańskich uniwersytetach, wciśnięte w getto niedoinwestowanych, ustawicznie marginalizowanych, a także wewnętrznie skłóconych slawistik, z roku na rok borykają się z coraz większymi restrykcjami administracyjnymi, z cięciami kadrowymi włącznie. Czy można marzyć o sukcesie, gdy bronić trzeba stanu posiadania?

Studia postkolonialne, zainicjowane przez Saida i rozwijane przez zastępy badaczy i krytyków rozmaitego pochodzenia, nierzadko tak wybitnych jak Gayatri Spivak czy Homi Bhabha, od początku koncentrowały się na literaturach społeczeństw tzw. Trzeciego Świata. Można to uznać za zrozumiałe, choć w wypadku Saida jest to zastanawiające, jako że od znawcy i miłośnika twórczości Conrada (*Nostramo* była ulubioną powieścią tego wybitnego krytyka) należałoby oczekiwać refleksji nad głębszymi przyczynami, dla których autor *W oczach Zachodu* potrafił w swoich narracjach tak sugestywnie ukazać problematykę wolności w zderzeniu z potęgą Imperium. W dyskusjach nad XIX- i XXwiecznym europejskim kolonializmem nie dostrzegano kolonialnego wymiaru doświadczenia społeczeństw, które przez blisko pół wieku znajdowały się w orbicie wpływów Moskwy, bądź jako pseudosuwerenne twory polityczne, bądź jako republiki. Można powiedzieć, że tu właśnie imperializm rosyjski odniósł największe zwycięstwo: za pomocą umiejętnej propagandy ideologicznej zdołał wymodelować i narzucić zachodniemu światu taki wizerunek ZSRR, który ustawiał rosyjskie centrum w opozycji do „starych” imperiów „kapitalistycznych”, jednocześnie skutecznie maskując jego własną kolonialną politykę – politykę, która pod

względem inwazyjności i destruktywności daleko przewyższała działania Wielkiej Brytanii, Francji czy Niemiec. Wykreowana na rzecznika uciskanych kolonii tzw. Pierwszego Świata Rosja Lenina, Stalina i późniejszych dyktatorów zmonopolizowała dyskurs antyimperialny jeszcze przed narodzinami postkolonializmu, przez co sama zdołała – na długo i skutecznie – uniknąć ostrza postkolonialnej krytyki. Od niedawna bowiem, dzięki pracy Ewy Thompson *Trubadurzy imperium* (2000), można mówić o przełomie w światowej slawistyce w podejściu do tego zagadnienia. W książce tej, przetłumaczonej na język polski, lecz niestety podobnie jak *Orientalizm* niedostatecznie u nas zauważonej, autorka wnikliwie przeanalizowała i przedstawiła, na materiale wybitnych dzieł rosyjskiej poezji i prozy, literackie mechanizmy budowania wizerunku imperium carskiego i sowieckiego, czyli to, co Said i jego spadkobiercy rozpoznali w literaturze brytyjskiej i francuskiej. Jednakże, w odróżnieniu od krajów Europy Zachodniej, w wypadku Rosji nigdy nie doszło do publicznego uznania własnej imperialnej winy, nie mówiąc o wynikającym z takiego stanowiska zadośćuczynieniu. Przeciwnie, w ostatnim czasie zaobserwować można, m.in. na łamach pisma „Ab Imperio”, zdumiewające próby zawłaszczenia dyskursu postkolonialnego przez niektórych badaczy rosyjskich (Alexandr Etkind *et al.*) w taki sposób, by dowieść słuszności karkołomnej teorii o rzekomej „samokolonizacji” Rosji i ZSRR. Taka modyfikacja teorii postkolonialnej przez historyków i literaturoznawców Federacji Rosyjskiej, a także rosyjskiej diaspory, oparta notabene na reinkarnacji dobrze znanego mitu „Rosji niewinnie cierpiącej”, usuwa oczywiście z pola widzenia – pierwszoplanowy z perspektywy postkolonializmu – problem moralnej odpowiedzialności imperium wobec byłych kolonii. Nietrudno przewidzieć, dokąd wiedzie rozumowanie oparte na teorii samoskolonizowania. Skoro Rosja poniosła największe straty, kolonizując od czasów Piotra I własne społeczeństwo, jak głosi Etkind i jego akolici, potencjalne roszczenia nierosyjskich społeczeństw wobec niej

są niehumanitarne i nieetyczne, a zatem nie można traktować ich poważnie – brzmi wniosek zwolenników tej koncepcji. Nie rokuje to, rzecz jasna, perspektyw na rychłe rozpoznanie – i uznanie – przez Rosję swojej imperialnej przeszłości (odrębnym zagadnieniem pozostaje dzisiejszy rosyjski imperializm z jego tendencją wzrostową). Nie zmienia to jednak faktu, że Moskwa przejęła niechlubne dziedzictwo, z którym powinna należycie się uporać, wzorem innych metropolii. Rolą nie tylko polityków, lecz także, a może przede wszystkim, humanistów wschodnio- i środkowoeuropejskich jest jej o tym przypominać. Możliwości takiej dostarcza właśnie dyskurs postkolonialny, który – umiejętnie uprawiany – zdoła zapobiec rozmyciu etycznej odpowiedzialności za skolonizowanie i jego konsekwencje. Brak stanowiska w tej sprawie ze strony społeczeństw byłych kolonii ZSRR spowodować może łatwe do przewidzenia konsekwencje: powtórne zdominowanie dyskursu na temat naszego regionu, w tym jego historii i kultury, przez punkt widzenia korzystny dla imperialnych interesów Rosji. Said pisał w *Orientalizmie*: „Często, zbyt często zakłada się, że literatura i kultura są niewinne politycznie czy nawet historycznie”. Otóż nie są i trudno dziś o bardziej jaskrawy przykład owego uwikłania niż sytuacja, w jakiej znaleźli się w ostatnich latach sławiści, poloniści i rusycyści.

Nawet bowiem jeśli ponowne odczytanie literatury rosyjskiej jako konsolidującej wizję imperium będzie kontynuowane przez rusycystów, zainspirowanych rozprawą Ewy Thompson, i spowoduje przeoranie świadomości rosyjskich elit (na co w dobrej wierze możemy mieć nadzieję, choć proces ten będzie zapewne długotrwały i niełatwy), to jeszcze nie wystarczy, by udzielić głosu tym, którym dotąd odmawiano prawa do tego, aby publicznie przemówili do świata we własnym imieniu. Równoległe z postkolonialną reinterpretacją dzieł pisarzy i poetów rosyjskich potrzeba krytyki, która rozpozna, odpowiednio steoretyzuje i przedstawi



w postkolonialnej optyce literaturę polską, a także inne literatury narodowe Europy Środkowowschodniej. By do tego doszło, konieczne jest przewyciężenie kilku silnie utrwalonych stereotypów i przesądów.

Jednym z nich jest przeświadczenie, płynące z silnego przywiązania do teorii „trzech światów”, iż wskutek oczywistych różnic historycznych, cywilizacyjnych i kulturowych odczytywanie naszej literatury wedle tego samego klucza, którego używa się do twórczości byłych terytoriów zamorskich Anglii czy Francji, jest pomysłem z gruntu chybionym. Protest przeciwko takim zakusom ma często u swego podłoża przeświadczenie o eurocentryczności, a więc i wyższości polskiej kultury nad kulturami zdekolonizowanych ludów azjatyckich czy afrykańskich, a wyrażany bywa nie merytoryczną polemiką, lecz pogardliwym wzruszeniem ramion. Polakom, podobnie zresztą jak innym mieszkańcom naszego regionu, niezbyt przypada do gustu postrzeganie siebie w jednym szeregu z resztą skolonizowanej ludzkości. Utożsamiamy się chętniej z doświadczeniem historycznym Europejczyków, i to raczej tych „zachodnich”, nie zaś ludów „Trzeciego Świata”. Przeoczamy jednak tym samym to, iż postkolonialność stanowi jeden z fundamentalnych elementów współczesnej tożsamości, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę niekwestionowany postkolonialny rodowód takich społeczeństw jak amerykańskie, kanadyjskie czy australijskie. Innymi słowy, uznanie statusu postkolonialnego za synonim prymitywności jest co najmniej nie na miejscu.

Nie sposób oczywiście nie zauważyć, że kolonializm rosyjski posiadał cechy swoiste, różniące go od modelu zachodnioeuropejskiego. O jego specyfice stanowi m.in. to, iż klasyczny wzorzec relacji: cywilizowana metropolia – barbarzyńskie imperium, zdaje się tu nie obowiązywać, zważywszy na to, jak postrzegały



moskiewskie centrum zdominowane przez ZSRR społeczeństwa europejskie. Łatwo wskazać w naszej literaturze długi szereg utworów, które w różnej stylistyce podejmują tę problematykę, od *Ustępu* III części *Dziadów* po *Człowieka w cieniu* Ryłskiego. To, co uznać by można za koronny argument przeciwko stosowaniu optyki postkolonialnej wobec naszej literatury, przemawia jednak w istocie za słusznością tej perspektywy. Dominacja polityczna niepoparta w punkcie wyjścia argumentem misji cywilizacyjnej mogła pozwolić imperium, z właściwą imperiom pewnością siebie, na stworzenie takiego argumentu. Dowodem w sprawie choćby obecna pozycja rosyjskiej literatury, sztuki i baletu. Czy byłaby ona identyczna, gdyby nie hegemonia Rosji w ostatnich dwóch stuleciach? Sugestii wyższości kultury rosyjskiego społeczeństwa uległ notabene sam Mickiewicz, gdy w liście z 1827 roku z ubolewaniem donosił Odyńcowi:

*Chciałbym drukować w Moskwie; Warszawa i daleka, i trudne związki, i niewielka wyprzedaż. (...) Odtąd więc w przedsięwzięciach moich literackich Warszawa będzie punktem drugiego rzędu. (...) Gdzież teraz, oprócz Warszawy, tłumaczą Legouvé i Delila, a co gorsza, Milvoie etc.? Rosjanie kiwają głowami z litości i z podziwienia. Zostaliśmy się o cały wiek w literaturze! Tutaj każdy nowy wierszyk Goethego obudza powszechny entuzjizm, zaraz jest tłumaczony i komentowany. Każdy romans Waltera Scotta natychmiast w obiegu, każde nowe dzieło filozoficzne już jest w księgarni; a u nas!*

Nie zapominajmy, że percepcja Rosji przez Polaków ma również i takie oblicze. Poczucie niższości, z którego zdawał przyjacielowi relację autor *Sonetów krymskich*, należy do najbardziej charakterystycznych znamion populacji skolonizowanej.

Czy nie jest jednak ryzykowne wprowadzanie nowej etykiety i określanie polskiej literatury jako postkolonialnej, gdy być może najbardziej odpowiednim paradygmatem, w jakim należałoby ją rozpatrywać, jest totalitaryzm? Pojęcia z zakresu krytyki totalitaryzmu, tak dobrze wpasowane w realia środkowoeuropejskie, wydawały się dotąd stosowne do opisu zjawiska, z jakim mamy do czynienia – nie całego jednak, a jedynie po roku 1944. Kategorie te okazują się natomiast niewystarczające do sprobematyzowania procesów i zjawisk, jakie zachodziły w naszym piśmiennictwie ostatnich dwóch stuleci i noszą liczne znamiona ciągłości. Odczytywanie twórczości artystycznej, a także publicystyki i krytyki literackiej przez pryzmat doświadczenia totalitarnego wyczerpało, jak się zdaje, swoje możliwości poznawcze i dalsze posługiwanie się tą matrycą interpretacyjną jest brnięciem w ślepy zaułek. Sytuacja ta stanowi w rzeczywistości kolejny dowód na to, jak misternym i wyjątkowym przedsięwzięciem na tle imperialnych posunięć Brytyjczyków czy Francuzów była sowiecka kolonizacja. Pozostawiła ona w podbitych narodach świadomość, iż dominacja ZSRR była jedynie aktem okupacji przez totalitarny reżim. Pogląd taki nie bierze pod uwagę, iż to nie forma rządów, sprawowanych w Polsce i innych krajach satelickich ZSRR, lecz relacja hegemonicznego podporządkowania decydowała o naturze projektu, jaki zrealizowano w naszej części świata. Pooświeceniowy kolonializm, o czym nie należy zapominać, nie ograniczał się do dominacji rasowej, lecz obejmował również zjawisko tzw. białego kolonializmu. Klasycznym jego przykładem jest Irlandia, kraj, którego postkolonialnego statusu nikt dziś nie kwestionuje, co jest m.in. zasługą irlandzkich, ale też brytyjskich, badaczy i krytyków. Rozpatrywany w świetle współczesnej teorii postkolonialnej, totalitaryzm w wydaniu komunistycznym okazuje się najbardziej brutalnym przedsięwzięciem o charakterze właśnie *par excellence* kolonialnym. I zarazem w

prostej linii kontynuacją kolonializmu rosyjskiego z okresu rywalizacji toczonej pomiędzy imperiami na wszystkich niemal kontynentach, nie wyłączając Europy.

W takim świetle studia postkolonialne nad polską literaturą są nie tylko do pomyślenia, lecz stanowią dla nas konieczność – i zarazem pożyteczną perspektywę. Pozwoliłyby wyrwać polską literaturę i „studia polskie” z getta i przenieść w obszar zainteresowań współczesnego świata. Szansy takiej dotąd jako społeczeństwo i naród nie mieliśmy – i nie ma w tych słowach retorycznej przesady. Postkolonialne spojrzenie na nasze piśmiennictwo ostatnich dwóch stuleci może zaowocować polskim *crescendo* w polifonicznym dyskursie światowej humanistyki. Uwolniona od partykularyzmu i umieszczona w polu doświadczeń wspólnych mieszkańcom różnych szerokości i długości geograficznych, literatura nasza mogłaby nareszcie zademonstrować to, że uczy się przemawiać własnym, pełnym głosem, wyzbywając się nękającego ją chorobliwie kompleksu niższości, bez potrzeby włączania jej w martyrologiczny gorset, jako pełnowartościowy produkt współczesnego postkolonialnego społeczeństwa. Takie powieści jak *Castorp* Huellego czy *Warunek* Ryłskiego ze względu na swój postkolonialny wydźwięk mogą liczyć na to, że czytelnik anglojęzyczny dostrzeże w nich elementy doświadczenia uniwersalnego. Drogę do szerszej międzynarodowej publiczności utorać może im jednak wyłącznie krytyka, która ów walor rozpozna i odpowiednio zaakcentuje. Tego zaś nie uda się osiągnąć bez udziału polonistyki, w tym polonistyki zagranicznej, przede wszystkim amerykańskiej i brytyjskiej. Nieprzypadkowo australijscy teoretycy postkolonializmu w głośnym w 1989 roku zbiorze esejów pod znamienym, przywołującym słynną frazę Rushdiego tytułem *Empire Writes Back* – „Imperium odpisuje” – zauważyli, że do uprawiania krytyki postkolonialnej szczególnie predysponowani są przedstawiciele danej diaspory. Obserwując bowiem swój

przedmiot refleksji z oddalenia i w perspektywie porównawczej, są oni w stanie dostrzec rysy trudniejsze do uchwycenia z niewielkiego dystansu. Takim szlakiem podążała dotąd krytyka postkolonialna, opisując literaturę Indii, Pakistanu czy Afryki, a także – bliższą nam z oczywistych powodów – twórczość pisarzy i poetów ukraińskich. Silne ośrodki studiów postkolonialnych w ramach ukrainistyki powstały na Harvardzie i na uczelniach australijskich. Czas, by potrzebę spojrzenia postkolonialnego oraz szansę, jaka z niego płynie, zauważyć i opisać również w odniesieniu do naszej literatury. Zanim silniejsi nie przemówią za nas, po raz kolejny marginalizując nasz głos.

*Tekst powstał podczas pobytu autora na stypendium Kosciuszko Foundation w University of Illinois w Chicago.*

**DARIUSZ SKÓRCZEWSKI**, ur. 1967, literaturoznawca, adiunkt w Katedrze Teorii Literatury KUL. Wydał m.in.: *Spór o krytykę literacką w dwudziestoleciu międzywojennym* (2002).